

Wdowi grosz i złote kule - Dariusz Karłowicz w Tygodniku Powszechnym

"Tygodnik Powszechny", 11.01.2008

"Tygodnik Powszechny", 11.01.2008

Wdowi grosz i złote kule

Rozmowa z Dariuszem Karłowiczem

Systemów wsparcia społecznego nie należy mylić z solidarnością. System jest zimny, nawet gdy jest sprawny, sprawiedliwy i zasobny. System nie wytworzy temperatury, w której człowiek zdolny jest przeżyć. Tę temperaturę wytworzyć może tylko solidarny człowiek. To, o czym mówię, dobrze widać poprzez doświadczenie ruchu hospicjów domowych.

Michał Olszewski: Jest Pan nie tylko filozofem, ale też specjalistą od marketingu i człowiekiem głęboko zaangażowanym w działalność charytatywną. Przy okazji dyskusji o wielkich kwestiach często używa Pan terminu „neofaryzeizm”. Co to takiego?

Dariusz Karłowicz: W Ewangelii faryzeizm to symbol moralnej i duchowej pustki kryjącej się za ostentacyjną pobożnością i pozorami filantropii – symbol skonstrastowany z trudem wewnętrznej przemiany, głęboką pobożnością i prawdziwym, dyskretnym miłosierdziem. Potocznie to postawa na pokaz, egoizm ubrany w szaty altruizmu i wrażliwości, ba!, w szaty dowolnej postawy cenionej przez wspólnotę, w której się żyje – a więc w kostium solidarności albo otwartości, albo np. społecznego zaangażowania.

Skąd „neo”?

Chodzi mi o przekonanie, że faryzeizm jest OK, że jest albo może się stać pożyteczny, jeśli zostanie odpowiednio wykorzystany. Marketing społeczny tę faryzejską postawę chce czasem zatrudnić do ulepszenia świata. Argumentem jest rzekoma skuteczność takich działań. Podczas sporów o kształt działalności charytatywnej słyszę często: dobre jest to, co jest skuteczne. Powiada się: jeśli duchowy mechanizm napędzający postawy faryzejskie może zostać wykorzystany w dobrym celu, to czym się przejmować? Ludzki egotyzm jest faktem – spróbujmy tak posłużyć się niskimi motywacjami, żeby zadowolony z siebie, zaspokojony w swojej próżności faryzeusz sypnął groszem. Taki, powiada się, jest dzisiejszy świat, taki jest rynek, takie są media masowe. Dlatego niech wbrew zaleceniom Ewangelii lewica wie, co czyni prawica. Wszystkie światła i kamery skierujmy na dobroczyńcę, a nie na tego, któremu pomagamy. Rozmawiajmy o idei, a nie o

konkrete, bo przecież abstrakty łatwiej kochać niż człowieka.

Przerzucamy się z tematu na temat, żeby zbyt szybko nie znudzić naszych darczyńców faryzeuszy. I w końcu: dobroczynność uczyńmy rodzajem zabawy i sposobem budowania prestiżu; niech będzie to forma transakcji, która daje cześć i dobre imię, a przynajmniej świetny ubaw.

To niemądra logika, która przynosi dużo więcej szkód niż pożytku.

Potrafi Pan odróżnić złą jałmużnę od dobrej?

Mówmy o masowej kweście, nie o jałmużnie, bo to trochę inne sprawy. A więc zła kwesta to ta, która niszczy więzi, oducza odpowiedzialności, wzmacnia podziały, obcość i obojętność, która niszczy poczucie wspólnoty z potrzebującymi, nie mówiąc już o takich, co szkodzą, albo o tych, które robione są czyimś kosztem. Na szczęście w Polsce tej złej dobroczynności nie ma tak wiele.

Sytuacje skrajne, jak ta z Warszawy, kiedy półpornograficzne pismo, promujące w zawołany sposób turystykę pedofilską do Tajlandii, zorganizowało koncert charytatywny na rzecz dzieci chorych na AIDS, należą do rzadkości. Zresztą przy jego okazji doszło do ciekawego zderzenia: Paweł Paliwoda napisał w „Gazecie Wyborczej” tekst surowo osądzający ten pomysł, a Ludwik Stomma w „Polityce” tekst Paliwody wyszydził, twierdząc, że w dobrej sprawie można iść pod rękę choćby z diabłem. Przypominam tamto zdarzenie, bo pokazuje ono, że w tych sprawach kryterium finansowej skuteczności prowadzi na manowce. Bo jeśli wziąć pochwałę Stommy dosłownie, to zbieranie pieniędzy na jedne dzieci kosztem cierpienia i poniżenia drugich jest w porządku.

Fundacja św. Mikołaja, której jest Pan prezesem, odmawia donatorom?

W ciągu 10 lat zdarzyło się, że nie wzięliśmy pieniędzy od spółki prawdopodobnie związanej z mafią. Częściej zdarza się, że do Fundacji przychodzą pełni dobrej woli przedsiębiorcy, którzy chcą wysłać misie do domów dziecka. Piękny odruch. Tyle że w większości domów dziecka akurat misie nie są specjalnie potrzebne. Wtedy namawiamy do innej formy pomocy.

Czyni Pan zarzut tym działaniom charytatywnym, które na pierwszym miejscu stawiają pragmatyzm i skuteczność. Co w tym złego?

Rzekomy pragmatyzm zarzucam tylko pewnemu typowi marketingu społecznego, i to głównie kiedy mowa o wielkich kwestach – bo skuteczność w działaniach charytatywnych cenię bardzo wysoko. Jednak całe gadanie o rzekomej finansowej skuteczności takich kampanii jest po prostu śmieszne. O jakich sumach mówimy? Gdyby naprawdę chodziło tylko o pieniądze, to największymi bohaterami polskiej dobroczynności powinni być poborcy podatkowi. Przecież nawet sumy zebrane przy okazji największych kampanii, takich jak Caritas czy WOŚP, pokrywają koszty zakupu urządzeń, które staną wśród tysięcy innych, często nieporównywalnie droższych. A jak policzymy koszt darowanych mediów, czas antenowy etc., to w ogóle nie będzie o czym mówić. Zatem przekonanie, że celem tych akcji jest dochód, jest fałszywe. Oceniając wielkie kwesty w rodzaju Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy wyłącznie przez ilość zebranych funduszy, dajemy świadectwo kompletnego niezrozumienia ich sensu.

Jakie więc, Pańskim zdaniem, jest główne zadanie wielkich kwest?

Świętowanie solidarności – utrwalanie imperatywu odpowiedzialności za innych, przypominanie, że jest częścią naszego DNA. Te święta to są momenty, w których przymierzamy się do ideału, patrzymy, jacy jesteśmy i jacy chcielibyśmy być. Świętujemy przeświadczenie o naszej odpowiedzialności za innych jako podstawie wspólnoty, w której żyjemy, o pewnym rodzaju równości poprzedzającym społeczne podziały i hierarchie. Solidarność odsłania coś pierwotniejszego od podziału na bogatych i biednych, wykształconych i niewykształconych, dających i biorących. Święto przypomina, że nie ma człowieka tak wielkiego, by nie potrzebował wsparcia, i człowieka tak słabego, żeby nie mógł pomóc, by nie mógł czegoś dać. Odnajdujemy to, co w nas wspólne – naszą przygodność. Bez tej prawdy o naszej słabości nie ma prawdziwej solidarności. Jesteśmy bytami niekoniecznymi, dlatego potrzebujemy solidarności i dlatego też jesteśmy zdolni do solidarności. Więzią wspólnoty jest fakt ludzkiej przygodności. Ta prawda, przeczuwana przez wielu filozofów, chrześcijanom dana jest w nauce o grzechu pierworodnym, wcieleniu, męce, śmierci i odkupieniu, które Boga-człowieka czyni panem solidarności. Wcielony i poniżony Logos jest jedynym możliwym fundamentem rzeczywistej wspólnoty ludzkiej, bo tylko On odkrywa godność i równość pierwotniejszą i zarazem istotniejszą od stworzonych przez ludzi hierarchii i podziałów. On pokazuje, że na dnie ludzkiej nędzy kryje się miłość, która pozwala dawać, gdy się nie ma – ba, właśnie dlatego że się nie ma, być miłosiernym, bo potrzebuje się miłosierdzia. Solidarność i miłosierdzie to rzeczywistości pokrewne.

Pewnie z Pańskiego punktu widzenia jestem faryzeuszem, ale widzę sens w pragmatycznym podejściu do dobroczynności. Potrzebujących nie obchodzi motywacja darczyńcy: czy to będzie jałmużna dobra czy zła. Oczekują konkretnego wsparcia.

Ale nie tylko albo nie przede wszystkim – jeśli ma pan na myśli pieniądze. Istnieje oczywiście poziom potrzeb finansowych – w Polsce wielka przestrzeń do wypełnienia. W Fundacji św. Mikołaja dzięki hojności darczyńców zbieramy przecież miliony na różne cele. Tyle że systemów wsparcia społecznego czy ekonomicznego nie należy mylić z solidarnością. System jest zimny, nawet gdy jest sprawny, sprawiedliwy i zasobny. System nie wytworzy temperatury, w której człowiek zdolny jest przeżyć. Tę temperaturę wytworzyć może tylko solidarny człowiek. To, o czym mówię, dobrze widać poprzez doświadczenie ruchu hospicjów domowych. Wolontariusz towarzyszący człowiekowi umierającemu nie zastępuje lekarza – on daje coś zupełnie innego, niż może dać medycyna. Problemem ludzi umierających nie jest brak pieniędzy, tylko samotność. To nawet bardziej widoczne dziś, kiedy nadzwyczajne postępy medycyny paliatywnej poważnie zmniejszają problemy fizycznego bólu umierających.

Takim bezosobowym, chciałoby się powiedzieć: systemowym, rozwiązaniem problemu samotności umierających jest eutanazja. Oto, ile może dać system, żeby rozwiązać dramat samotności. Odpowiedź idąca ze świata solidarności mówi – lekarstwem na samotność jest prawda, miłość, obecność i troska.

Można łatwo wyobrazić sobie wspólnotę polityczną, w której system pomocy działa niezwykle poprawnie, a mimo to brak solidarności czyni życie piekłem. Trochę tak jest we Francji, którą opisuje Chantal Delsol.

Wielkie kwesty przypominają nam o obowiązku solidarności w sensie duchowym. O tym, czego nie załatwi najsprawniejszy nawet system opieki społecznej.

To nie jest dobry czas na wdowi grosz ani podkreślanie, że filantropia bez miłosierdzia jest niepełna.

Ale to właśnie wdowi grosz jest rdzeniem nauki o miłosierdziu. Dzielić się może tylko ten, komu brakuje. O to chodzi, gdy powiada się, że rzeczywiście dawać można tylko z tego, czego nie zbywa. Bo tylko wtedy akt pomocy jest aktem solidarności, a nie aktem manifestowania społecznych hierarchii.

Solidarność jest możliwa tylko w warunkach tak pojętej jedności i równości. Chodzi o fundamentalną równość. To nie jest wymiana dóbr, to akt ontologicznego braterstwa. On ma sens, jeśli unieważnia podział na jałmużnika i żebraka. W innym przypadku takie akty utrwalają obojętność – mogą rodzić pogardę. Jan Paweł II uzupełniał sławny okrzyk „Nie ma wolności bez »Solidarności«”, mówiąc „Nie ma solidarności bez miłości”.

To nie tylko projekt arcychrześcijański, ale też arcy polityczny. Proszę wziąć do ręki „Politykę” Arystotelesa.

Jak przekonać do przyjęcia duchowej nadbudowy społeczeństwo, które skupia się na pomnażaniu dóbr, kupowaniu kolejnych samochodów, telewizorów i pralek?

Tradycja solidarności jest w Polsce nadal bardzo żywa. To nie przypadek, że „Solidarność” i kult Miłosierdzia Bożego zrodziły się w tej samej katolickiej, niszczonej totalitaryzmami Polsce.

Doświadczenie „Solidarności” było jednym z najważniejszych i z pewnością nieprzypadkowych. Nie wyrosło z niczego i nie zniknęło wraz z upadkiem komuny. To nie kamfora, to nie moda, lecz łaska i tożsamość. Bez siostry Faustyny, bez ks. kard. Wyszyńskiego, bez obchodów Milenium, bez cierpień zadanych przez faszyzm i komunizm nie byłoby Jana Pawła II. Bez niego nie byłoby pewnie „Solidarności”, która w jakimś sensie była polityczną wykładnią nauki o Bożym Miłosierdziu. To, że Papież napisał po Sierpniu encyklikę „Dives in Misericordia”, nie jest przypadkowe. Zarówno tam, jak i w powstałej w tym samym czasie „Etyce solidarności” solidarność za św. Pawłem rozumiana jest jako gotowość noszenia ciężarów drugiego. To nie są akty politycznego konstruktywizmu, to element tożsamości, która może ewoluować, nie znika z dnia na dzień.

Dziedzictwo „Solidarności” przełożone na język współczesny kojarzy mi się raczej z akcyjnością, zrywami i umiejętnością organizacji karnawałów. To nie jest dzisiaj potrzebne.

Życie niesolidarne jest niemożliwe. I to zarówno w skali małej, międzyludzkiej, jak i wspólnotowej. Dzięki chrześcijaństwu odkryliśmy źródło solidarności. Pontyfikat Jana Pawła II pomógł nam zrozumieć doświadczenie solidarności i zakorzenić je w języku wspólnoty politycznej. Nie powinniśmy się go obawiać, bo „solidarne my” pozwala unikać atomizacji i trybalizacji wspólnoty – podziału na zwalczające się

plemiona. Bez tego „my” nie ma poświęcenia – nie ma wspólnoty. Tischner przestrzegał przed zapomnieniem o solidarności – i co najdziwniejsze, nie posłuchali go jego wyznawcy.

W latach 90. tak bano się niebezpiecznego nadmiaru myślenia zbiorowego, że przepaszano za „Solidarność”. Tymczasem okazało się, że wspólnotę trzeba pielęgnować, bo bez niej przyjdzie nam zmierzyć się ze skutkami transformacji niesolidarnej, transformacji obojętnej na los swoich ofiar, ofiar wielkich przemian. Najdramatyczniejszy skutek lekceważenia solidarności, ponury skutek klimatu duchowego lat 90., to głęboko ugruntowany podział na beneficjentów i frajerów, na tych, którzy skorzystali, i na ofiary transformacji. Warto pamiętać, że zwycięstwo PiS w ogromnym stopniu było aktem sprzeciwu wobec takiego stanu rzeczy.

Oddychamy ciągle w Polsce powietrzem solidarności, i to solidarności rozumianej właśnie jako polityczny wymiar miłosierdzia. To widać przy wielkich zrywach, ale widać i na co dzień – choćby w obszarze tzw. trzeciego sektora. Bo co ciekawe, a co oczywiste z bliska, ten trzeci sektor – kiedyś nadzieja projektantów neutralnego forum – jest głęboko chrześcijański. Do Fundacji św. Mikołaja przychodzą młodzi ludzie, którzy już na wstępie zastrzegają: „Interesuje nas miłosierdzie, nie działalność humanitarna”. Szybko okazuje się, że należą do wielkiej armii uczniów Jana Pawła II, ludzi, dla których koronka do Miłosierdzia i lektura „Dzienniczka” siostry Faustyny jest jednym z najważniejszych ćwiczeń duchowych.

Może żyję w szczęśliwym świecie, ale spotykam wielu, którzy w swoim mniemaniu starają się robić to, co zaczęto w Sierpniu. Pracują jako wolontariusze w hospicjach, domach samotnej matki, ośrodkach adopcyjnych. Mogliby robić karierę w miejscach, gdzie zarabialiby krocie. Czasem obok, czasem zamiast innej kariery zajmują się

noszeniem cudzych ciężarów.

A ja mam wrażenie, że w działaniu społecznym idziemy w kierunku modelu amerykańskiego. Najpierw budujemy własny dobrobyt, a później myślimy o innych. W kraju, w którym kolejne pokolenia zmieniały świat, nie mając czasu na zmienianie najbliższego otoczenia, jest to logika nowa.

Budowanie własnej pomyślności nie musi oznaczać zamknięcia na innych. Znam wielu ludzi, którzy to łączą. Oczywiście prowincja amerykańska jest pod tym względem wzorcowa. Więzy sąsiedzkie są tam bardzo mocne. Ty mi dasz narzędzia, ja ci podrzucę sadzonki wiosną, razem zbudujemy szkołę albo salę zabaw. To też jest rodzaj praktyki miłosierdzia, dodatkowo fundujący wspólnotę lokalną. Mniejsze znaczenie ma to, kto jest bogaty, a kto biedny. Jeden daje pieniądze, drugi daje swój czas.

Z logiką „dam, jak będę posiadał”, trzeba uważać. Takie myślenie oddala od działania. Przecież zawsze mamy za mało. Kto z nas kiedykolwiek poczuje, że wzbogacił się na tyle, by już skończyć – albo że już mu zbywa? Może mędrzec. Jednak mędrzec jest podobno rzadki jak Feniks. Dlatego zasada „najpierw pomóż sobie, potem innym” to doskonały pomysł, żeby nigdy nie zacząć. Podobnie jest z logiką „zajmę się dobroczynnością, jak już sam stanę się dobry”. Tyle, że tu sytuacja jest już zupełnie beznadziejna.

Czy przypadkiem udział w wielkiej kweście nie daje nam rozgrzeszenia? Łatwiej wrzucić pieniądz do puszek, niż pomóc chorej sąsiadce.

A ja czuję w podtekście pytanie: czy nie powinniśmy zrezygnować z kwesty, skoro w jej wyniku nie stajemy się błyskawicznie święci? Nie zakładam, że staniemy się święci, ani że wielkie kampanie społeczne zmienią Polskę w rodzaj tysiącletniego królestwa Chrystusa.

Nie należy czynić zarzutu z faktu, że święta zdarzają się rzadko i że nie wszyscy wychodzą z nich przemienieni. Problem postawiłbym inaczej: wielka kwesta, która tworzy wrażenie, że po wrzuceniu datku sprawa się kończy, jest złą kwestą. Wielka kwesta, która namawia, by datek był pierwszym krokiem, jest kwestą dobrą. Chrześcijaństwo mówi wyraźnie: „daj jałmużnę i pójdz w ślad za nią”. Chrześcijańskie życie to nieustanne uświadamianie sobie napięcia pomiędzy tym, kim chcieliśmy być, a tym, kim jesteśmy. Wielu z nas trochę to odmienia. Dla nadziei, że uda się to „trochę”, warto żyć.

Pytanie polega raczej na tym, co się świętuje. Nie przepadam za świętowaniem wyjątkowości i dobroci donatorów. Nie przepadam za celebrą egotycznego hedonizmu, za świętowaniem braku zobowiązań, za świętem jednorazowej pomocy, za zabawą kosztem potrzebujących. Od tego, co i jak jest świętowane, zależy, czy wielkie kwesty staną się kołem zamachowym ważnych procesów społecznych czy też hamulcem budowy nowoczesnej, solidarnej Polski.

Może to jedna z najważniejszych cech ducha narodowego? Działanie zrywami, wielkie i krótkotrwałe karnawały. Wielkie kwesty wpisywałyby się wtedy w szerszą całość.

Protestuję. Codzienna solidarność to stara polska tradycja. Proszę wziąć do ręki przedwojenną gazetę, jakąkolwiek. Będzie się w niej roić od informacji o dziesiątkach kółek i stowarzyszeń. Komuna zniszczyła zdolność samoorganizacji, a tę, którą zostawiła, sprostytuowała tak, że stała się ona symbolem czegoś strasznego. Proszę sobie przypomnieć, jakie konotacje miało za PRL-u słowo „społecznik”. Jako dziecko nie mogłem zrozumieć, dlaczego mój dziadek przed wojną działał w spółdzielczości, bo kojarzyła mi się z PRL-em.

Komunizm wypłukał z nas zdolności samoorganizacyjne – widać to w trzecim sektorze, ale widać i w życiu politycznym. Mam w oczach mojego dawnego sąsiada, wspaniałego człowieka, powstańca warszawskiego, który na osiedlowym podwórku ogradzał trawniki kilometrami pięknych płotków. Zupełnie niedorzeczna praca. Miał ogromny potencjał działania, a nie miał z nim dokąd pójść. Wyc mi się chce, kiedy widzę wzdłuż dróg ludzi ze słoikami jagód, a potem wjeżdżam do wioski, w której nie ma gdzie zjeść pierogów z jagodami. Potencjał społecznej inicjatywy i życzliwości jest ogromny, tylko nie znajduje ujścia. W Polsce codziennie rano budzą się setki tysięcy osób, które chcą zrobić coś dobrego i nie mają dokąd z tym pójść.

Może wielkie kwesty są jedną z emanacji lęku Polaków przed życiem indywidualnym?

Nie sądzę. Naszym problemem nie wydaje mi się ani kolektywizm, ani indywidualizm. Oba muskuły są nieźle rozwinięte (o oba trzeba dbać). Prawdziwy problem jest z tym, co pośrodku. Brakuje umiejętności samoorganizacji.

Spotyka pan wśród ludzi trzeciego sektora Izabele Łęckie?

Czyli takie osoby, z których działalności charytatywnej nic nie wynika poza zabawą? Z pewnością. Co więcej, znajdują się i łajdacy. Inna sprawa, że mam jednak szczęście, bo jakoś mało było ich na mojej drodze.

Mówimy cały czas tak, jakby istniała nieprzebrana ilość wielkich kwest. A raptem w ciągu roku zdarza się kilka.

Najbardziej podziwiam „Świecę Caritasu”. Czytelny, piękny symbol, jasny przekaz. Na miarę pustego talerza na wigilijnym stole.

A Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy? Jeśli przyłożyć do niej Pańską miarę, spełnia wiele cech złej filantropii. To głośna, żywiołowa impreza, niezły ubaw. Co roku inni potrzebujący. Światła na donatorów...

Z każdym rokiem oceniam ją coraz lepiej: okazała się bardzo potrzebną, co najważniejsze, trwałą instytucją przypominającą nam o naszych obowiązkach względem innych. Orkiestra daje setkom tysięcy ludzi okazję do świętowania solidarności.

Rzeczywiście, jej styl nie zawsze jest mi bliski. To nie jest moja muzyka ani mój język, młodzieżowy luz niezbyt mi odpowiada, a zbierający do puszek sprawiają czasem wrażenie, że nie wiedzą, na co zbierają. Ale krzywiąc się, pamiętajmy o skali. Jerzy Owsiak tworzy ramy, które możemy wypełnić różną treścią. Organizacja tak ogromnego dzieła budzi szacunek. Nie jest bez znaczenia, że Orkiestra pomaga ukatrupić przekłety rys postpeerelowskiej inteligencji – że się nie da, że nie warto, że nic się nie uda.

Oczywiście, Jerzy Owsiak wywoływał wątpliwości, szczególnie niefortunne „róbta co chceta”...

Za które z ambon sypały się na niego gromy. Pamięta Pan przeganianie wolontariuszy spod kościołów?

Po latach można już chyba zaryzykować twierdzenie, że temu hasłu bliżej do Augustyńskiego „Kochaj i czyn, co chcesz”, niż do niefrasobliwego immoralizmu, o który było podejrzewane.

Ale to od Owsiaaka zaczęła się charytatywność, która jest zabawą. Bądźmy konsekwentni.

Nie jestem wrogiem zabawy, tylko nieodpowiedzialności. Filantropia, solidarność i miłosierdzie nie muszą być smutne. Idzie o co innego. Te imprezy mogły robić wrażenie, że ich jedynym celem jest zabawa. Ludzie obawiali się, że Orkiestra to nowa rockowa forma wyśmiewanego balu dobroczynnego, gdzie chodzi o to, żeby zjeść, pokazać się i potańczyć, a potem resztki przekazać na biednych. Ale tak się przecież nie stało. Kolejne edycje rozwiewają dawne obawy. Owsiak pokazuje, że solidarny może być każdy, że po to by pomagać, nie trzeba jechać do Afryki, nie trzeba być zawodowym działaczem czy żoną milionera. Pokazuje też, że pomagać można bez śmiertelnie poważnej miny, że to wszystko, co wydawało się takie trudne, jest na wyciągnięcie ręki. Wielu ludzi zaczęło od odkrycia, że można wziąć puszkę i pomóc. To jego wielkie dzieło – bo prawdziwy cel wielkich akcji to pokazanie, że nie potrzeba nadzwyczajnego wyposażenia, żeby być miłosiernym i solidarnym. Chodzi o zrobienie zakupów dla cierpiącej na kolana sąsiadki. A jak Pan radzi sobie z bardzo dużą rolą donatorów w Orkiestrze? Z jednej strony jest w Panu niezgoda na stawianie darczyńców w światłach kamer, a z drugiej strony nie

wyobrażam sobie, że woli Pan epatowanie nędzą czy chorobą. Nie widzę tu dobrego wyjścia.

Nie popadajmy w absurdalną podejrzliwość. Rzecz w tym, by wielka kwesta nie stała się aktem celebrowania dobroczyńcy. Nie chodzi o to, że darczyńca musi być anonimowy, bo jeśli jest inaczej, to z pewnością mamy przed sobą faryzeusza i hipokrytę. Powiem więcej: w pewnych warunkach anonimowość może być sposobem na ucieczkę od odpowiedzialności. Święty Mikołaj wrzucał złote kule do mieszkań swoich sąsiadów anonimowo, ale robił to szereg razy.

Panu też nie udało się uniknąć oskarżeń.

Nie ma działań pozbawionych ryzyka. Przy najlepszej nawet woli zdarza się, że ktoś jest niezadowolony. Zawsze pracujemy z ekspertami, robimy solidne badania, a mimo to czasem konflikt jest nieunikniony.

W kampaniach unikamy emocjonalnego szantażu. Tak było np. w kampaniach zachęcających do przekazywania datków na hospicjum dla dzieci, w kampanii dla niewidomych podopiecznych stowarzyszenia Tęcza, a później w zbiorce dla polskich dzieci na Litwie. W wypadku hospicjum nie fotografowaliśmy umierających dzieci. Tematem była samotność, a modelką zdrowa dziewczynka. Przesłaniem była fraza Twardowskiego „Śpieszmy się kochać ludzi”. Znam takich, którym się to nie podobało. Co zrobić? W kampanii na rzecz dzieci w polskich szkołach na Litwie tematem była nasza odpowiedzialność za Polaków za granicą. Nie chcieliśmy dokumentować ubóstwa, więc fotografowaliśmy dzieci w najlepszych ubraniach, na tle pięknej przyrody.

To dziecko nad jeziorem miało na sobie najlepsze ubrania?

Tak, a mimo to ktoś pisał „Po co wtrąacie się w te sprawy?”. Nie chcemy ścigać się z tabloidami w pokazywaniu tego, co dramatyczne. Nie interesuje nas pornografia cierpienia, podobnie jak nie interesuje nas wywoływanie przerażenia. Nie wierzę, żeby solidarność rodziła się w wyniku szantażu, pod wpływem strachu, gdzieś między horrorem a przerażeniem. Akt solidarności jest aktem człowieka wolnego. Szantaż wydobywa pieniądze, nie braterstwo.

Tylko w jednym wypadku wydaje mi się, że język reklamy społecznej może być dosłowny, bezwzględny. Tam gdzie odkrywa zasłanianą prawdę. Przypomina mi się kampania na rzecz maltretowanych koni. Kiedy zobaczyłem potworne zdjęcie pokaleczonego zwierzęcia, to na początku pomyślałem: „Fatalne”. Ale później dotarło do mnie, że to jedyna droga, by pokazać coś, co dzieje się również dlatego, że tego nie widzimy.

Przed nami XVI Finał Orkiestry. Z najnowszych badań wynika, że zapał filantropijny Polaków słabnie, mimo że zamożność rośnie. Czy to oznacza, że czas wielkich kwest mija?

Za wcześnie na takie oceny. W naszej Fundacji żadnych spadków nie widać. Przeciwnie. Trzeba zresztą pamiętać, że badania polskiej filantropii naznaczone są poważnym defektem. Czasem myślę nawet, że jest to słabość odbierająca im wszelką powagę. Otóż one na ogół nie biorą pod uwagę tego, co dzieje się wokół parafii. A tam dokonuje się gigantyczna i niezauważona praca. Tam działają hospicja, domy pomocy, domy samotnych matek, ośrodki interwencyjne, koła charytatywne, chóry, prowadzone przez społeczników zajęcia dla dzieci czy kluby piłki nożnej. Tam się tworzy prawdziwa nowoczesna wspólnota polityczna. Tyle że badacze tego nie dostrzegają. Czasem to nawet zabawne spostrzec, jak prawdy oczywiste dla wszystkich ludzi, którzy nie patrzą na świat przez ideologiczne okulary, nie są znane ani

na uniwersytetach, ani w mediach. Na czele tych niezauważonych oczywistości znajduje się ta, że wiara w Boga jest głównym motorem naszej żywiłowej modernizacji.

A czy zmalowały wpłaty, tego powiedzieć nie potrafię. Zmalowały?

Zmalowała liczba donatorów. Według badań przeprowadzonych przez stowarzyszenie „Klon/Jawor” w porównaniu z 2005 r. aż o 13 procent. Może zaszkodził odpis podatkowy?

Rzeczywiście, jest taka opinia, iż odpis od podatku wywołuje niedobre złudzenie, że już się pomogło, więc po co więcej pomagać. Tymczasem 1 procent to nie darowizna, tylko prawo do skierowania części podatku w upatrzone przez nas miejsce. Podobno na Węgrzech po wprowadzeniu 1 procenta suma darowizn spadła.

Czyli 1 procent to nie wdowi grosz.

W 1 procencie nie ma nic złego – przeciwnie. Nam w Fundacji 1 procent naprawdę bardzo pomaga. Zgadzam się, że odpisów podatkowych nie da się traktować jak wielkiego gestu solidarności i miłosierdzia. Z pewnością warto dać więcej.

Ile?

Podczas którejś z Orkiestr widziałem w Warszawie bezdomnego z serduszkami przyklejonym na kurtkę. Być może coś wrzucił do puszki.

Przypuszczam, że bardzo dużo.

Rozmawiał Michał Olszewski